

znak

A close-up portrait of a woman with voluminous, dark, curly hair. She has light-colored eyes and is looking directly at the camera with a neutral expression. The lighting is dramatic, highlighting her face against a dark background.

TYLE SŁOŃCA
**ANNA
JANTAR**
MARCIN WILK **BIOGRAFIA**

TYLE SŁOŃCA
**ANNA
JANTAR**
– **BIOGRAFIA**

MARCIN WILK

REDAKCJA
DOROTA GRUSZKA

WYDAWNICTWO ZNAK
KRAKÓW 2015

1

Drzewo genealogiczne narysowała Natalia, posiłkując się pamięcią babci. Wydobywała kolejno postaci, czasem na zasadzie skojarzeń, czasem idąc po nitce do kłębka. Powstał z tego olbrzymi i solidny dąb. A może jednak rosochata wierzba? Niektóre z gałęzi uginają się pod ciężarem, inne lekko odstają. Czasem brakuje kogoś do pary. Takie drzewo, na początku lipca 2014 roku podczas uroczystego przyjęcia, dostali wszyscy goście dziewięćdziesiątych urodzin Haliny Szmeterling.

* * *

Pani Halinka stwierdziła, że bardzo przypominam jej tatę. Czesław Daniel Leliwa Surmacewicz¹, z t y c h Surmacewiczów, herbu Leliwa (którym posługiwać się będą między innymi Soplicowie z *Pana Tadeusza* czy Juliusz Słowacki), był tęgim, potężnym mężczyzną, który – i to już nas bardzo różni – lubił myślistwo. W pamięci pani Halinka zachowa zdjęcie, na którym jej tata wita się z prezydentem Stanisławem Wojciechowskim, następcą Gabriela Narutowicza. On sam też był kimś w tamtych czasach bardzo ważnym – burmistrzem.

Zofia, jego żona, była w siódmym miesiącu ciąży, kiedy znowu wybierał się na polowanie. Prosiła męża, by został w domu, bo na dworze panował straszny mróz. Ale on się uparł, musiał pojechać, ponieważ mieli tam być sami oficjale: starosta i wojewoda. W tej sytuacji nie było żadnej dyskusji.

Czesław Surmacewicz wyruszył więc z zacnymi gośćmi zabijać zwierzęta. Już po polowaniu źle się poczuł i uznał, że lepiej będzie, jeśli oddali się od towarzystwa i nie pójdzie, tak jak wszyscy, do hotelowej restauracji, tylko od razu do swojego pokoju, który mieścił się w osobnym budynku. Poprosił też, by posiłek przynieść mu na górę.

Kiedy już był u siebie, postanowił jeszcze trochę odechnąć świeżym powietrzem. Wyszedł na zaśnieżony taras. Pech chciał, że podłoga na nim była ze szkła. Gdy ten słusznej postury mężczyzna na niej stanął, taras się zerwał. Wysokość, z jakiej spadł, nie była zbyt duża, ale wtedy akurat kelnerka, która szła z kolacją, otworzyła drzwi na dole. Surmacewicz nieszczęśliwie nadział się na nie i złamał kręgosłup.

Nie cierpiał długo, zmarł po dziesięciu minutach od wypadku.

Rzecz działa się w Krotoszynie, w historycznym hotelu Pod Białym Orłem. W pobliżu Ostrowa Wielkopolskiego, około stu kilometrów na południowy wschód od Poznania.

Był styczeń roku 1925. Pani Halinka nie miała nawet roczku. Historię o tacie opowiedziała jej mama.

Zofia Surmacewicz została sama; w ciąży i z dwójką dzieci – czteroletnim Mirosławem i Halinką (był jeszcze Aleksander, ale ten wtedy już nie żył; najmłodszy z braci, Janusz, urodził się w 1926 roku). Nie dałaby sobie rady, gdyby nie pomoc mamy. Maria, po mężu Czosnowska, babcia pani Halinki, miała sklep

Jezus, Marjo, Józefie św. wam oddaję serce
cielo i duszę moją.



Ś. p.

Czesław

Leliwa-Surmacewicz

burmistrz miasta Zdun

ur. dnia 3 stycznia 1898 r.

um. dnia 11 stycznia 1926 r.

w Krotoszynie

Błogosławieni miłosierni albowiem oni mi-
łosierdzia dostąpią.

Dobry Jezu, a nasz Panie, daj mu wieczne
spoczywanie.

we Wronkach, czyli – patrząc od strony Krotoszyna – na północ aż za Poznaniem. Zofia musiała pójść do pracy. Pojechała do mamy i zatrudniła się najpierw w sklepie, a potem w fabryce przetworów ziemniaczanych, w końcu została księgową. Nie było jej łatwo, przede wszystkim z powodu wykształcenia. Potrafiła zagrać na fortepianie utwory z romantycznego repertuaru, nie sprawiała jej problemu lektura klasyki literatury francuskiej czy angielskiej w oryginale, wiedziała również, w jaki sposób reagować na grubiaństwo ze strony mężczyzn oraz gdzie położyć sztucę na stole – w końcu jako jedyna córka dobrze sytuowanych właścicieli sklepu była po pensji. Ale tam nie nauczono jej podejmowania decyzji i tego, co robić dalej w życiu, gdy młody mąż nagle umiera.

Poza tym Zofia nie dostała po Czesławie ani grosza. Co prawda on skończył prawo i ekonomię na uniwersytecie w Poznaniu, sprawował też urząd burmistrza, ale pracował zbyt krótko, by ona mogła cokolwiek po nim odziedziczyć. Do tego wszystkiego polisa na życie straciła ważność tuż przed jego śmiercią.

Na początku Zofia była zdana na łaskę i niełaskę rodziców, ale okazało się, że jest bardzo energiczna i radzi sobie nadzwyczajnie.

2

Od samego początku nad związkiem Zofii i Czesława wisią klątwa.

Kresowy ułan przyjechał do Wronek i kiedy przechadzał się ulicą, usłyszał śpiew nieznajomej i żywo się nią

zainteresował. Miał dobre ucho – Zofia była utalentowana muzycznie. Nie tylko pięknie śpiewała, ale i grała na fortepianie. To była miłość od pierwszego usłyszenia. Czesław zakochał się z wzajemnością.

Zofia pochodziła jednak z rodziny kupieckiej. Szlachta nie chciała mieć nic wspólnego z dorobkiewiczami bez historii. Czesław gotów był popełnić mezalians, byle tylko Zofia zdecydowała się go poślubić.

Surmacewiczowie, herbowa szlachta z kilkoma wiekami historii, dorobku i kultury, nie mogli sobie pozwolić na taki skandal. Nie tylko nie pobłogosławili związku Czesława i Zofii, ale również odsunęli się zupełnie od wyrodnego potomka, nie przyszli na ślub. Nigdy się nie dowiedzieli, jak bardzo spełniony w miłości był ich najstarszy syn. Nie pojawili się nawet na jego pogrzebie.

Zofia nigdy nie poznała swoich teściów, którzy mieli rodowy honor i – jak mówiła – „pięć mórg w doniczce”.

3

Zofia została więc sama i sama musiała uczyć się życia. Sklep jej rodziców nie był złym miejscem do nauki ekonomii, a i miał swój urok. Pani Halinka twierdzi, że przypominał nieco ten z *Lalki* Prusa. U Czosnowskich, jak u Wokulskiego, można było dostać produkty kolonialno-galanteryjno-mydlarskie.

Pani Halinka twierdzi, że jej dzieciństwo w towarzystwie dwóch braci nie wyróżniało się niczym szczególnym. Starszy brat, Mirosław, był nadzwyczajnie zdolny. Pięknie śpiewał. W gimnazjum w Szamotułach, gdzie uczyło się



rodzeństwo, dyrektor wskazywał go zawsze jako jednego z najlepszych uczniów w historii szkoły. Wyróżniającego się, wręcz wybitnego.

Z kolei Janusz był bardzo muzykalny. Jakikolwiek instrument wziął do ręki, potrafił na nim zagrać. W czasie okupacji mama miała z nim najwięcej kłopotów, bo wpadał w towarzystwo, w którym nie powinien się znaleźć.

W domu czuło się codzienny trud związany z zapewnieniem bezpieczeństwa w ciężkich dla dzieci – najpierw osieroconych przez ojca, potem dotkniętych wojną – czasach. Zofia nie była zbyt skłonna do okazywania uczuć, nie rozpieszczała dzieci. Nauczyła się zaradności. Była obrotna i potrafiła wszystko załatwić. Znajomość języka niemieckiego (obok francuskiego i angielskiego, którymi posługiwała się nienagannie) też się wielokrotnie przydała. Pani Halinka zapamięta, że jej mama miała klasę i zawsze potrafiła się dobrze ubrać.

Zapamięta też, że mama rzadko ją przytulała, więcej ciepła doznała od babci.

Był zatem sklep, była zaradność mamy, dwóch braci – w tym jeden „ten zdolny”, i właściwie tyle.

W rodzinie zawsze zresztą dominowali humaniści, w szkole Halinka lubiła historię, geografię i język polski. Uwielbiała literaturę. Czytała, co jej wpadło w ręce. Szczególnie ceniła książki podróżnicze i biografie.

Gorzej bywało z matematyką, z którą Halinka miała ciągle kłopoty. We wrześniu 1939 roku nastawiała się nawet na poprawkę, do której nie doszło z wiadomych powodów.

– Byłam grzeczna. Chodziło się do szkoły i już. To były ciężkie czasy – mówi pani Halinka.

Gdy rozmawiamy o marzeniach, pani Halinka opowiada, jak zafascynowana umiejętnościami mamy, również chciała tańczyć palcami po klawiaturze w rytmie i tonacji najważniejszych klasyków muzyki. Ceniła Bacha, Mozarta i Czajkowskiego. Mama zdecydowała, że dziewczynka powinna zacząć brać lekcje.

Halinka marzyła, by iść w ślady muzycznych rodziców, ale miała też inne rozrywki, choćby jedną z ulubionych podwórkowych zabaw – chodzenie na grandę z innymi dziećmi. Podczas jednej z takich eskapad dziesięcioletnia Halinka siedziała na drzewie w ogrodzie należącym do wspólnoty miejskiej (po latach pani Halinka wspomni coś o Bractwie Kurkowym) i zrywała kasztany. Nagle mama zawołała ją na obiad. Dziewczynka chciała jak najprędzej zejść z drzewa i przestraszona skoczyła na krzesło stojące na metalowym ogrodowym stole. Krzesło się obsunęło, a dziewczynka uderzyła się o blat i złamała rękę w trzech miejscach, tracąc na dwa lata czucie w palcach.

Halinka w pierwszym momencie nawet nie płakała. A kiedy zaczęła, to nie z bólu, tylko dlatego, że się bała, jak na to wszystko zareaguje mama.

W ten sposób przekreśliła szanse na zostanie pianistką i musiała zrezygnować z marzenia, które w przyszłości zrealizować miała za nią Ania.

Kilka lat później „Dziennik Poznański”² z 1 września 1939 roku na pierwszej stronie zadaje pytanie: *Czy upór Hitlera zostanie złamany?* A w podtytule donosi: *Dziesięć milionów ludzi pod bronią przeciw Niemcom.*

Obok wiadomości prosto z Londynu znaleźć można komentarz odredakcyjny, który czytany dzisiaj sprawia wrażenie, jakby Niemcy nie przekroczyli jeszcze granicy:

„Któż by przypuszczał, że do współczesnych metod wojowania obok bombowców, czołgów i bojowych gazów może przybyć jeszcze czynnik, zdawałoby się, tak pokojowo niewinny jak radio? W przestworzach toczą się dziś prawdziwe bitwy. Lecą audycje w obcych językach. Przesłuchujesz ty mego dezertera? – czekaj, przesłucham ci przed mikrofonem twego, że aż ci oczy zbieleją. Są i rozejmy w tej walce. Teraz radio sowieckie na tematy niemieckie milczy, teraz już z Moskwy nie słyszymy pikantnych szczegółów, gdzie i za ile pan Goebbels kupował w Berlinie futra dla... pewnej pani. Dziś Leningrad nie zapytuje natarczywie, czy pani Goebbelsowa przypadkiem o tym wie. Natomiast fale radiowe jakby stężyły napięciem, słowa biegnące przez eter stają się brzemiennie w znaczenie. Wczoraj na przykład radiostacje angielskie powtórzyły myśl marszałka Śmigłego-Rydza z jego mowy krakowskiej i rzuciły narodowi niemieckiemu pytanie:

– Czy to uważacie za pokój, aby jedni brali, a drudzy – terroryzowani zgnieceniem im czaszki – dawali?”³.

Zofia Surmacewicz nie zadawała tego typu pytań i raczej nie miała wątpliwości, co w tej sytuacji, w jakiej kraj i naród

się znalazły, należy zrobić. Udała się do odpowiedniego punktu i oddała obrączki męża i swoją na Fundusz Obrony Narodowej, dla kraju.

Tak się załatwiło sprawy: wszystko co najcenniejsze panny, panie i panowie oddawali, by wzmocnić obronność ojczyzny na wypadek wojny. I wesprzeć Polskę w potrzebie.

* * *

1 września 1939 roku był wyjątkowo piękny. Halinka nie zaczęła tego ciepłego dnia ani od lektury prasy, ani od słuchania doniesień radiowych, tylko poszła z kolegami i koleżankami nad Wartę. Wystawiała twarz do słońca i na razie ani myślała zajmować się poprawką z matematyki.

I choć działo się to w pierwszy dzień wojny, to nie były ostatnie chwile młodego, nie zmąconego jeszcze problemami życia Halinki.

Pamięta jednak niektóre koleżanki z podstawówki, dziewczynki, które przychodziły do szkoły bez śniadania. Nogi miały owinięte gazetami, żeby nie zmarznąć, a zamiast płaszczy okrywały się płóciennymi płachtami. Popołudniami usiłowały po pięć groszy sprzedawać w pęczkach drzazgi na rozpałkę w piecach, ale nikt od nich nic nie chciał kupić.

W tym czasie Niemcy zarekwirowali własność Czosnowskich. Uznali, że nadaje się na *Auffanggesellschaft*, czyli że mogą ze sklepiku zrobić spółkę, która nie będzie należeć do Polaków.

Halinka też musiała iść do pracy. Na początku wojny pomagała w polu, zakasywała rękawy i robiła, co było trzeba. Dziewczyna tak szczupła jak ona z trudem dawała radę. Na

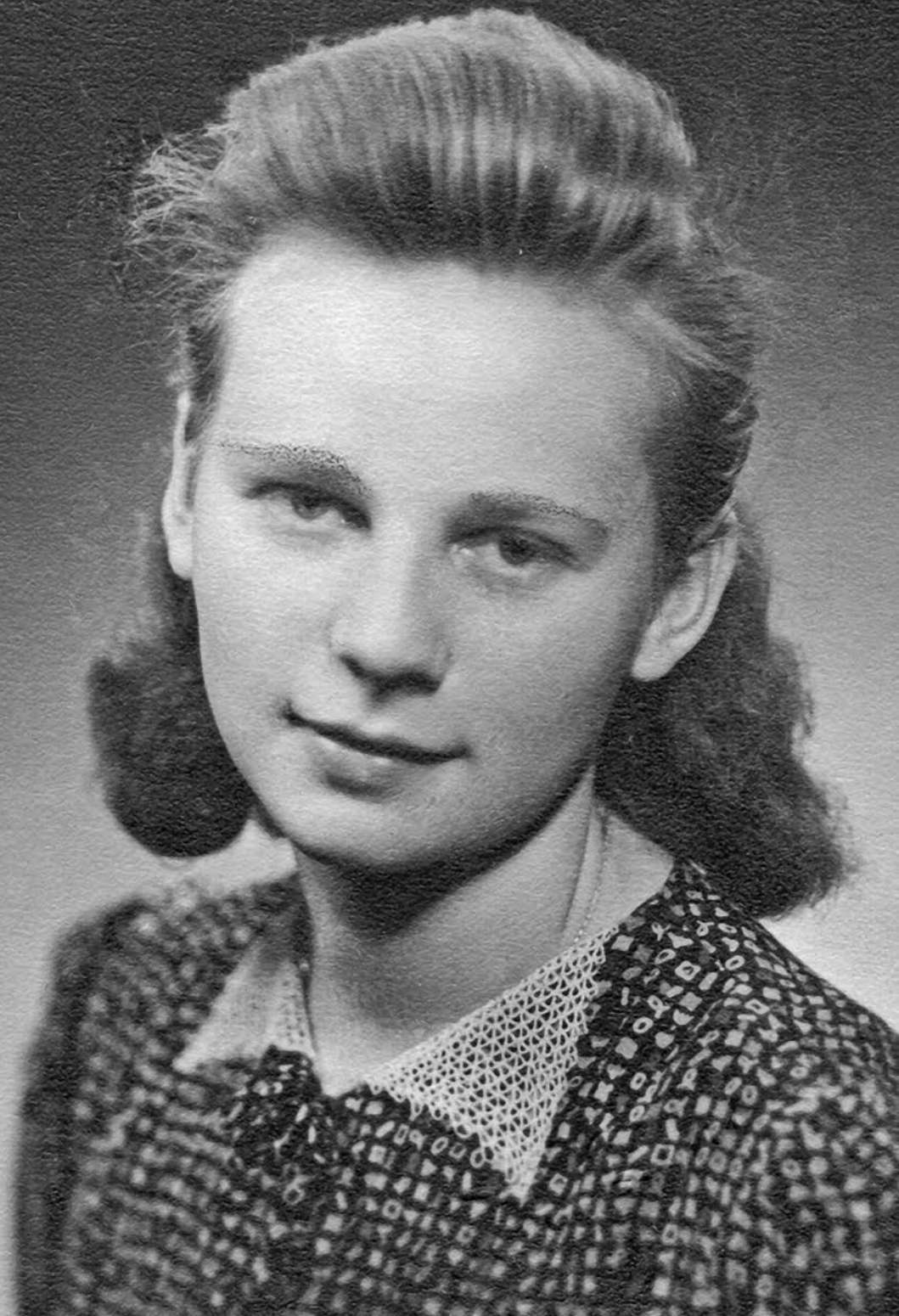
szczęście dzięki rozmowom mamy z nadzorującym pola Halinkę oszczędzano.

W lecie były żniwa, a potem wybiórki, czyli zbieranie ziemniaków do wielkich, ciężkich koszy, które należało na plecach przenosić do samochodów. W pewnym momencie jednak Halinka zachorowała tak poważnie, że niemal zemdlała podczas pracy. Dostała zapalenia wyrostka, znieśli ją na workach. Od razu została wysłana do szpitala.

Potem trafiła do pracy u Niemca, który był właścicielem sklepu elektrycznego. Wiodło jej się już lepiej: na początku szyła abażury, później układała na prasie materiały. Kiedy jednak uległa drobnemu wypadkowi i przycięła palec, Niemiec nie omieszkał wyrazić swojego niezadowolenia, że jest taka nieostrożna.

Ostatecznie dziewczyna wylądowała w fabryce. Rozdzielała tam zajęcia wśród kobiet, które utrzymywały się z *Heimarbeitu*, czyli chałupnictwa – pracowały w domu, opiekując się równocześnie dziećmi. Nowe stanowisko było wyróżnieniem, a Halince się udało dodatkowo, z powodu przychylności pracodawcy. To Niemiec, o którym powie potem, że był „naprawdę w porządku”. Nie zabrali go do wojska, bo jedno oko miał szklane. Ale nie to było najważniejsze. W Halince dostrzegł on już nie dziewczynkę, lecz kobietę – młodą, drobną, atrakcyjną. Mimo że posiadał rodzinę, trochę za nią latał. Próbował ją przydybać to tu, to tam. A to brama za ciasna, a to przejście takie wąskie. Takie tam końskie zaloty. Za każdym razem wiedziała, że mu się wymknie, choć nie zawsze wszystko szło gładko.

Raz musiała zabrać się gdzieś z nim pociągiem. Uparł się, że będzie jechała z nim, czyli w części uprzywilejowanej,



tylko dla Niemców. Z polskiego punktu widzenia siedzenie w takim wagonie oznaczało po prostu zdradę. Halinka wykazała się sprytem; co prawda wsiadła z nim, ale już za chwilę przebywała w polskim przedziale z innymi Polakami.

Radziła sobie dzielnie. Kobiety w tej rodzinie mają w genach, by w trudnych chwilach być prawdziwymi heroskami. Po latach pani Halinka powie oczywiście, że to jej mama była bardziej zaradna.

* * *

Halinka zbliżała się do dwudziestki. Była wciąż młoda i podobiała się. Jej pierwszą sympatią był Hilary Grupiński, syn złotnika – zegarmistrza. Hilary, zgodnie z tym, co sugerowało imię, należał do obywateli spokojnych, poważnych i statecznych – wydawał się mężczyzną idealnym do roli męża.

Jednak Halinka nie zachwyciła się tą kandydaturą.

5

Dla pani Halinki lata 1939–1945 i okres tuż po wojnie to mimo wojny i okupacji najpiękniejsze zapamiętane momenty; marzenia, młodość. Z czułością wraca we wspomnieniach do każdego pagórka i drzewa, które zostawiła daleko za sobą. Wronki pamięta jako przepiękną, zalesioną okolicę. Miała tam, jak to się mówi, swoją paczkę. Dziś już nikt z niej nie żyje, ale pani Halinka z tym większym sentymentem przywołuje ich wszystkich w wyobraźni.

W lasach, wśród drzew, chowali się przed dorosłością i śpiewali piosenki. Ale i tam ich namierzono. Po wojnie śpiewy i las kojarzyły się jednoznacznie i ci, którzy wysledzili Halinkę i jej paczkę, sądzili, że towarzystwo bawi się w konspirację. A oni po prostu chłonęli młodość. Cieszyli się ostatnimi chwilami życia bez specjalnych trosk, trudnych spraw, samodzielnych decyzji i osobistej odpowiedzialności.

Wtedy właśnie, a może ciut wcześniej, w życiu pani Halinki pojawił się pewien lwowiak. Miłość jej największa.

Najpierw przychodził do sklepu do Czosnowskich. Zofia, mama Halinki, zamarudziła z nim nieco dłużej niż z innymi klientami. Zagadała się z młodzieńcem – mówiąc wprost – tak, że zapomniała o całym świecie. Halinka musiała interweniować, zejść z piętra w budynku, w którym znajdował się sklep, do mamy, upomnieć ją uprzejmie i przypomnieć o potańcówce urządzonej akurat nad sklepem, na którą obie się wybierały. On podchwycił temat, spytał, czy mógłby dołączyć. Kobiety przystały na tę niewinną propozycję.

Halinka jednak nie dała się oczarować od razu, choć później powie, że zainteresowała się nim dlatego, że po prostu śpiewał lwowskie piosenki i, jakby to powiedzieć najprościej, był pod ręką.

Józiek Szmeterling regularny podryw zaczął na zapominanie. Wracał do sklepu pod pretekstem, że coś zostawił. A to czapkę, a to inne zakupy. Oczywiście chodziło tylko o to, by móc zobaczyć Halinkę. I tak wychodził sobie tę miłość.

Mama Józka pracowała jako cyrkówka w sławnym Cyrku Braci Staniewskich, który przed wojną należał do najlepszych w świecie, dbano w nim o wysoki poziom artystyczny. Tresura dzikich zwierząt, zonglerzy, klauni. Życie w takiej zawierusze,



między tresowanymi pchłami a akrobacjami na niebezpiecznych wysokościach, poskutkowało tym, że mama Józka wyróżniała się niezależnością i tak wychowywała syna. Nie był w stanie podporządkować się rygorowi ani jako chłopak, ani potem jako mężczyzna. Nie zmieniło tego nawet wojsko.

Cyrk w życiu mamy Józka z czasem przestał być najważniejszy. Z powodu złamania ręki musiała zakończyć karierę. Wyszła wtedy za bardzo szlachetnego i prawego człowieka, pana Savickiego, dziennikarza sportowego, z którym adoptowała dwoje dzieci. Wyprowadziła się w 1944 roku do Czechosłowacji. Odwiedzała co prawda często Szmeterlingów, ale ani pani Halinka, ani jej dzieci nie nawiązały z nią bliższych relacji, choć dla Ani wizyta u babci będzie pierwszym wyjazdem za granicę. Fani przechowują także jeden z pierwszych listów przyszłej gwiazdy, zaadresowany właśnie do babci Savickiej.

Józiek najbardziej spodobał się mamie pani Halinki. Musiał jej zaimponować swoim charakterem. Może na zasadzie przeciwieństw, bo przecież Zofia została wychowana w zupełnie innym duchu. Poza wszystkim był niesamowicie przystojny.

– Niczym się specjalnie nie wyróżniał – powie po latach pani Halinka. – Szarmancki brunet z gęstą czupryną, to po nim Ania i Natalia odziedziczyły włosy. Bardzo nas zbliżyło to, że też lubił czytać.

Gdy pani Halinka poznała Szmeterlinga, nie wiedziała o nim zbyt wiele. Mogła się zachwycić co najwyżej wojskową karierą oblubieńca.

O tym, że przed każdym atakiem krzyczał z innymi „Hurrrrra”, a wcześniej dostawał sporą porcję czystego spirytusu – dowiedziała się później.

SPIS TREŚCI

Rozdział I	/	9
Rozdział II	/	39
Rozdział III	/	75
Rozdział IV	/	109
Rozdział V	/	153
Rozdział VI	/	177
Rozdział VII	/	207
Rozdział VIII	/	251
Rozdział IX	/	291
Rozdział X	/	341
Podziękowania	/	369
Przypisy	/	371
Bibliografia	/	381
Indeks nazwisk	/	385
Spis ilustracji	/	393

Prawdziwy portret Anny Jantar – gwiazdy polskiej estrady.

W tej wyjątkowej biografii kryje się o wiele
więcej niż tylko historia kariery
w blasku światła.



Dla mnie to książka szczególnie ważna. Jest jak film, który pokazuje prawdziwe życie mojej mamy i wszystkie jego barwy. Życie, do którego chce się wracać i celebrować każdą jego cząstkę. Może dlatego, że było tak krótkie.

Natalia Kukulska



Jaka naprawdę była Anna? O czym marzyła?
Przed czym uciekała?

Marcin Wilk rozmawiał z jej mamą, Halią Szmeterling, i córką, Natalią Kukulską. Dotarł do tych, którzy znali Annę najlepiej i zapamiętali jej blask. Z ich opowieści wyłania się kobieta mądra, dojrzała i niezależna, gwiazda największego formatu. Kobieta, która musiała podejmować decyzje kosztem własnych marzeń, nie bała się ryzykować ani sięgać po nieosiągalne.

Książka zawiera niepublikowane materiały, fotografie, dokumenty i listy.

Tyle słońca to także doskonały obraz polskiej sceny muzycznej lat siedemdziesiątych, historia pełnego absurdów codziennego życia artystów zdanych wyłącznie na siebie.

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-240-3399-7



www.annajantar.pl

E-book dostępny na
wóblink.com

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY